



Maciej Sieńczyk
**MASZYNA DO KOLOROWANIA
RYSUNKÓW „DORA”**

Uwaga miłośników sztuki skupia się na rękodziele, z całym jego bogactwem gorączkowych form rzeźbiarskich, pociągnięć pędzla i fantazyjnych gobelinowych splotów. Bywa, że w tę dziedzinę ducha wkracza obcy, kłopotliwy gość, a wówczas stajemy, zadziwieni, popatrując po sobie w milczeniu. Wielu wzdraga się przed wprzęgnięciem brzydkich i nieustawnych maszyn kolorujących do intymnej i pozostającej w sferze uczuć pracy artystycznej. Inni, którzy zajmują się budową oraz propagowaniem tych urządzeń, odczuwają to jako przykrość, aspirując do nowej kategorii „wykluczonych”. Mało kto słyszał o maszynie do kolorowania „Bambi-5”, przemianowanej na „Dora”, nie mówiąc o „Bambi-4”, „Bambi-3”, „Bambi-2” oraz „Bambi-1”, zaś o „Protobambi” nawet szkoda gadać. O pokrętnych losach tego przedsięwzięcia nie chciałem pisać, przewidując, że projekt złożę w urzędzie patentowym i ja lub moje dzieci będą miały z tego ładny grosz. Jednak późniejsze wypadki sprawiły, że zdecydowałem się ujawnić niektóre szczegóły.

W marcu 2019 roku dostałem propozycję komercyjnej wystawy trzydziestu dużych rysunków. Z miejsca złożyłem buńczuczną deklarację, że rysunki będą kolorowe, dzięki czemu majętni parweniusze rzucą się na nie niczym kociątka na zwitek pstrokatych gałąnków. Rozważywszy to bardziej na chłodno, uświadomiłem sobie ogrom pracy, który stanął przede mną. Co prawda miałem już trzydzieści rysunków, lecz pokolorowanie jednego zajmuje pięć dni pracy od rana do wieczora, o czym wiedziałem, wykonując liczne chałtury. Potrzebowałem więc stu pięćdziesięciu dni, i to przy dobrych wiatrach, bo w międzyczasie trzeba realizować pomniejsze zlecenia. Od razu wyjaśnię, dlaczego kolorowanie jest tak pracochłonne. Aby uzyskać np. cielisty róż – na modłę starych, dzieciennych książeczek – muszę położyć warstwę różową, pomarańczową, beżową i na koniec, gdy wyjdzie zbyt jaskrawy, wypada go zgasić którymś z odcieni szarości lub brązu.

Pomyślałem, czy nie wynająć jakiejś kobieciny – niezamożnej, ale sumiennej, która by siedziała przy stole i kolorowała. Chciałem przynieść jej z miasta obiady i puszczać książkę mówioną (co byłoby dla niej dodatkowym zyskiem), na przykład *Lalkę* Prusa albo opowiadania Tarasa Szewczenki, gdyby to była osoba z Ukrainy. Przyjaciele zaczęli mi to odradzać, a zarazem doradzać technikę kolorowania farbami lub zgoła absurdalną, wcierania pigmentu wacikiem. Wy tłumaczyłem, że kolorowanie farbami trwa tak samo długo jak kredką, poza tym zdejmowanie zaschniętego pigmentu, gdy coś pójdzie nie po myśli, jest niezwykle żmudne. Nade wszystko jednak moja sztuka tak bardzo została przeniknięta miazmatami przytulnego dzieciństwa, że chcę używać tylko tych narzędzi, którymi posługiwałem się jako dziecko.

Dyskretnie, bo zbyt gremialny odzew mógłby być kłopotliwy, rozpuściłem wici, że potrzebuję osoby do kolorowania. Zgłosiło się kilku znajomych, ale głos wewnętrzny podpowiedział mi, że takie wspólne kolorowanie mogłoby kosztować o wiele więcej niż obiady, książka mówiona plus skromna dniówka, i to już może do końca życia. Dostałem też od jakiejś pani wiado-

mość: „Za godzinę kolorowania stawka 50–60 zł, zakładając, że na każdy z rysunków potrzeba będzie, zakładam 5 h”. Nie wiedziała, że kolorowanie tak dużej powierzchni trwa bardzo długo. Poza tym, gdyby robiła to przez pięć dni po pięć godzin dziennie, przy stawce 50 złotych za godzinę wychodziło 1250 złotych za pokolorowanie rysunku. Trzeba przemnożyć to przez trzydzieści rysunków, co dawało 37 500 złotych.

Wtedy to spłynęło na mnie cudowne rozwiązanie, można powiedzieć – doznałem czegoś w rodzaju iluminacji. Momenty niezwykle jasności, które bez wahania włączam do kategorii olśnień, zdarzyły mi się dwa razy. Pierwszy, gdy siedziałem z kolegą w jego wiejskim domku i słuchaliśmy nocnej audycji. Prowadząca wymyślała zagadki, w rodzaju „Jak miała na imię żona prezydenta Roosevelta”, a słuchacze próbowali je rozwiązać. Nagle padło pytanie „Rodzina taka to a taka miała w herbie zwierzę i pytanie brzmi, jakie to zwierzę”. Bezsenni starszuskowie dwoili się i troili, ale nie mogli zgadnąć, bo były to czasy przedinternetowe. Wówczas powiedziałem krótko: „Wiewiórka”. Dziennikarka, zmuszona odpowiedzieć na własne pytanie ujawniła, że jest to rzeczywiście wiewiórka. Kolega podniósł na mnie zdumione oczy, a ja pospieszyłem z wyjaśnieniem. Otóż dziennikarka rozpraszała smutne myśli osób cierpiących na bezsenność, złaknionych pochwał lub pocieszenia i nasiąkła czymś w rodzaju zawodowego infantylizmu. Przywykła do wynajdowania pogodnych treści, nie poważyłaby się na zagadkę z wilkiem lub, powiedzmy, żmiją. W naszej szerokości geograficznej rozkosznym i lubianym przez wszystkich zwierzątkiem może być tylko wiewiórka. Choć brzmi to dość prostodusznie, zaręczam – trzeba wyjątkowej przenikliwości, aby pośród misiów, lisków i biedronek, z których każde obarczone jest drobną, ale istotną wadą, znaleźć to proste na pozór rozwiązanie.

Pod presją zaciągniętych zobowiązań ośwładnęła mną idea mechanicznego kolorowania rysunków i odtąd, głuchy na wszelkie perswazje, skupiłem się na realizacji tego zamierzenia. „Istotnie – pomyślałem – trzeba skonstruować coś w rodzaju wirującego gniazda kredek, którymi wodzić będę po rysunku, niczym lakiernik swym pistoletem. W ten sposób pracę, która wymaga kilku dni, wykonam w godzinę i zacznę wypuszczać wielkie, efektowne rysunki niczym pierogi”.

„PROTOBAMBI”

Tak więc sercem maszyny – o czym nie wątpiłem – miała być wirująca wiązka kredek. Wydało mi się, że butelka nieśmiertelnego szamponu „Bambino” – w naszych czasach przemianowanego na „Bambi” – długa i elastyczna, nada się znakomicie jako obejmka. Z wielkiej niecierpliwości, chcąc po trochu wykpić się tanim kosztem i takimż wysiłkiem, jako napędu użyłem szczoteczki do zębów. Wyobrażałem sobie, że wodząc po papierze szczoteczka z nasadzoną butelką i kredkami w środku, wnet

pokoloruję duży rysunek. Moją maszynkę ochrzciłem, nieco awansem, „Bambi”. Dziś sądzę, że należy ona raczej do dziedziny „Protobambi” i nazwę „Bambi” rezerwuję dla bardziej zaawansowanych modeli. Jak się okazało, wątył silnik nie był zdolny poruszyć głowicy kolorującej i szczoteczka jedynie bzycała żałośnie. Ów nieudany eksperyment zawiódł mnie do poszukiwań lepszego napędu.

WENTYLATOR „BAMBI-1”

Coraz pożądlivszym wzrokiem popatrywałem na stary, sowiecki wentylator z gumową śrubą, jakich używało się pięćdziesiąt lat temu w upalne, letnie dni. Żał mi go było niszczyć i spacerując, ze szczególną bacznością popatrywałem na okoliczne śmietniki. Pewnego dnia (było to, pamiętam, w Wigilię Bożego Narodzenia), zapragnąłem się nieco przewietrzyć w okolicach śmietnika i znalazłem znakomity wentylator. Ale spotkał mnie zawód, również on nie wprawił „głowicy rysującej” w ruch.

MIKSER „BAMBI-2”

Wciąż jeszcze wierzyłem, że wykonam funkcjonalną kolorowarkę metodą na poły żartobliwego klecenia przedmiotów domowego użytku. Nieubłaganie nadchodził czas miksera jako napędu i zacząłem śledzić aukcje internetowe, gdzie skrzętni i praktyczni ludzie pozbywali się za bezcen mikserów z jednym mieszadłem, lub tak starych, że nie wypadało ich używać. Wyszukiwałem ofert z najmniejszych miejscowości mniemając, że znalezienie kupca na tak stary i bezużyteczny przedmiot sprawi ubogim radość i bardziej jeszcze – że po wsiach mieszkają ludzie niezsypuci, więc sprzedadzą sprawny mikser. Częściowo moje przypuszczenia się sprawdziły i uzyskałem kilka dychawicznych gratów. Nawiasem mówiąc, chcąc wybrać najlepszy, zamówiłem ich zbyt dużo i przychodziły jeszcze jakiś czas po tym, gdy przestały być potrzebne. Po uruchomieniu miksera z przytwierdzoną do mieszadła wiązką kredek, okazało się, że głowica wiruje, nawet dość szybko, ale pod wpływem siły odśrodkowej kredki wyleciały z gniazda niczym z procy. Spiąłem więc butelkę metalową kłamrą do uszczelniania rur i – gotów w każdej chwili rozpocząć kolorowanie – włączyłem urządzenie. Okazało się, że ręka ludzka jest zbyt chwiejną, niestabilną podstawą, żeby równomiernie przemieszczać się nad płaszczyzną. Tego, co uzyskałem, kilka bezładnych mazajów, w żadnym wypadku nie można było uznać za kolorowanie. Próba wykazała, że głowica powinna być idealnie prostopadła przez cały czas pracy, a możliwe to było tylko w warunkach użycia jakiegoś statywu.

Równoległe szły prace nad ulepszeniem samej głowicy. Temperowanie kredek, by każda miała idealnie tę samą długość, było trudne i zdecydowałem się na ołówki automatyczne. Niestety, gdy przyłożyłem je, wirujące, do papieru, wkłady okazały się zbyt kruche. Użyłem więc

dużych ołówków z grubymi wkładami, tak zwanych „Kubusiów”. W przypadku tego typu narzędzi problemem jest mały wybór kolorów, a ja pożądałem barw najbardziej subtelnych i ekstrawaganckich, przywodzących na myśl morfinistów, uporczywie wpatrzonych w pastelowe zasłony. Kupiłem większą ilość kredek akwarelowych w najbardziej wyrafinowanych odcieniach i obrałem nożykiem z drewnianych oprawek. Uzyskane w ten sposób pręciki były nieco za cienkie, przez co wypadają z „Kubusiów”. Udałem się więc do sklepu akwarystycznego, gdzie nabyłem przezroczystą rurkę do pompowania powietrza. Nanizałem różnobarwne pręciki na kawałki pociętej rurki i odtąd trzymały się pewnie. Dawało to nadzieję na rozwiązanie problemu mozolnego nakładania warstw.



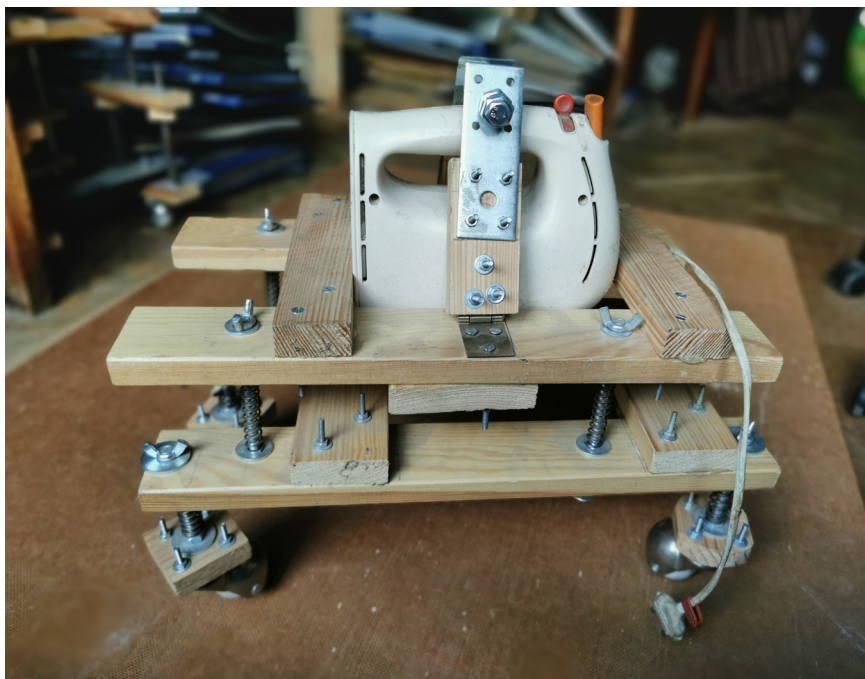
MIKSER „BAMBI-2”

Byłem tak zaabsorbowany maszyną, że świat zewnętrzny usunął się sprzed moich oczu. Budziłem się, kalkulując wymiary rurek, nakrętek, podkładek i kładłem się w dusznym, zatechłym od gorączkowych oddechów pokoiku, a moja maszyna, jakby nie dość jej było miejsca na jawie, weszła do dziedziny marzeń sennych i przyśniło mi się, że w głowicy zamiast kolorowych ołówków tkwi kielbasa i rysuję kielbasą. Gdy chcąc się posilić, podnosiłem do ust kefir, myślałem o butelce jako o zgrabnej tulei i rozważałem, czy nie użyć zakrętki jako podkładki. Stojąc w łazience wsparty o sedes i nacierając nogę – zawsze nieco spierzchniętą – kremem, skonstatowałem ze zdziwieniem, że trzymam ją w muszli.

MIKSER NA RUCHOMYM STELAŻU „BAMBI-3”

Przywołując wszystkie swoje inżynierskie zdolności, rozpocząłem prace nad ruchomym stelażem dla miksera, czymś w rodzaju stolika na kółkach, jakie widuje się w szpitalach lub na kolei. Dzierżąc nieporadnie skreślone plany, codziennie – począwszy od wczesnych godzin rannych – odwiedzałem sklepy ze śrubkami i deskami, począwszy od tych dużych, a skończywszy na kameralnych, gdzie panowała atmosfera nieomal domowa. Już od progu wołałem: „Poproszę o dwadzieścia śrub takich jak ta” lub „Czy jest może wiertło, które byłoby większe niż to, a mniejsze niż to?”, a sprzedawcy odpowiadali: „Proszę pana, ja nie wiem, o jakie wiertło panu chodzi, co to jest: Trochę większe niż to, a mniejsze niż to?” lub „Śróbka między tą a tą to jest szóstka. Czy o szóstkę panu chodzi?”. „Chyba tak” bąkałem. „To albo chyba, albo tak”. Niektórzy domyślali się, że mają do czynienia z maniakiem, a w każdym razie z mężczyzną wrażliwszym niż inni, bo studiując wykonane przeze mnie rysunki prętów, desek i kątowników, uśmiechali się nieznacznie. Kilku z nich miało powierzchowność angielskich aktorów, byli to nostalgicy, hołdujący niewesołym rozmyślaniom, prawdopodobnie o śmierci. Właśnie kogoś takiego spotkałem w sklepie budowlanym. Za drugiej bytności przyjrzałem mu się uważniej: mimo wieku zaledwie średniego, chodził powoli, niesiony rozkazami współpracownic, z wyrazem twarzy niewyrażającym nic prócz smutku. Jego regularne, choć skapcianałe rysy i cała postawa kazały mi myśleć „To prawdopodobnie jeden z tych Gwiezdnych Okrętów, których fale życia przywiodły wbrew ich woli na posady sprzedawców śrubek”. Nie uśmiechał się wcale, prócz jednego jedyne go razu, gdy jakiś robotnik uskarżał się na trudny problem budowlany, z którego nie widział wyjścia. Sprzedawca o powierzchowności angielskiego aktora uśmiechnął się i powiedział: „Była taka książka Alistaira MacLeana i tam było napisane: «Są sytuacje, z których jedynym dobrym wyjściem jest śmierć»”. Zaciśnąłem pięści, aby nie krzyknąć – doprawdy, jak rzadko myliłem się w swoich rachubach!

Wkrótce „Bambi-3”, będący w istocie mikserem na kółkach, gotów był do pierwszej próby. Odczekałem noc, aby mieć jasny umysł i całą rzecz przeprowadzić na chłodno, ale okazało się, że owe przygotowania były na wyrost. Pod wpływem siły odśrodkowej elastyczna butelka odchylała się na boki i nie było mowy o kolorowaniu. Przypomniała mi się pudrowa zasyпка, której używałem podczas pielęgnacji dziecka, jej cylindryczne opakowanie wydawało się dość sztywne. Udałem się więc do apteki, gdzie kupiłem pewną ilość zasyпки. Odciałem pokrywkę, wyrzuciłem zawartość, a do denka przytwierdziłem mieszadło miksera. Niestety, opakowanie po zasyponce także miało skłonność do fiksacji podczas wirowania. Po tych eksperymentach zostało mi zapasowe opakowanie zasyпки oraz kilka pełnych butelek szamponu, które porozstawiałem po różnych częściach mieszkania, gdzie służą mi jako mydło w płynie.



SZLIFIERKA NA RUCHOMYM STELAŻU „BAMBI-4”

Doświadczenia z butelkami skłoniły mnie do poszukiwania innej otuliny niż plastikowa. Potrzebowałem rury stalowej, którą – z czym już się pogodziłem – będę musiał osadzić w łożyskach. Tak to z „konfekcji lekkiej” przeszedłem do dziedziny bardziej masywnych maszyn, tym samym żegnając się z ideą ładnej, zgrabnej kolorowarki. Kupiłem dwie rury do tłumika samochodowego, jedną perforowaną – w nadziei, że będzie lżejsza – i drugą pełną. Perforowana, gdy dociąłem ją i zaczą-

Pod presją zaciągniętych zobowiązań owładnęła mną idea mechanicznego kolorowania rysunków i odtąd, głuchy na wszelkie perswazyje, skupiłem się na realizacji tego zamierzenia. „Istotnie – pomyślałem – trzeba skonstruować coś w rodzaju wirującego gniazda kredek, którymi wodzić będę po rysunku, niczym lakiernik swym pistoletem. W ten sposób pracę, która wymaga kilku dni, wykonam w godzinę i zacznę wypuszczać wielkie, efektowne rysunki niczym pierogi”.

łem wbijać w łożyska, zaczęła giąć się i wypaczać, a rura pełna wchodziła za luźno. W tym miejscu wspomnę, że prace nad maszyną owocowały licznymi pobocznymi rozwiązaniami, m.in. zbudowałem kilka nowych narzędzi. Gdy łożysko okazało się zbyt luźne, by ściśle objąć stalową rurę, zmuszony byłem nałożyć na nią podwójną dętkę rowerową, co okazało się niezmiernie trudne. Zbudowałem narzędzie rozporowe, nasmarowałem rurę towotem i po wielkich trudach naciągnąłem na nią podwójny gumowy kołnierz. Ów kołnierz także nasmarowałem towotem, po czym wbiłem rurę w łożyska. Kawałek dętki przydał się także jako otulina dla wiązki ołówków, które wciśnięte do stalowego gniazda siedziały odtąd mocno i pewnie.

Wskutek uporczywego skupienia na zagadnieniach twardości lub giętkości materiałów wykształciło się we mnie coś, co można by nazwać „materiałoznawstwem uczuć”. Zyskałem tym samym jakby dodatkowy zmysł. Zwykle, mając do czynienia z blazką, rurką plastikową lub deską, patrzymy na nie przez pryzmat ich funkcji, posługując się nimi zgodnie z porządkiem uświęconym latami praktyki. Ja zacząłem widzieć w deskach, gwoździach i rurkach struktury o mniejszej lub większej spistości, bez oglądania się na przypisane im zastosowanie. To tak, jakby mijając na ulicy wojskowego, widzieć w nim nie generała, ale człowieka z całym jego bogactwem uczuć. Wbrew zasadom sztuki inżynierskiej i technologii, zacząłem tedy ciąć bez skrupułów wzdłuż i wszerz, formować, wypełniać dowolnie kleistymi masami, giąć pręty, docinać śruby, w tłumiki samochodowe wsadzać nakrętki po kefirze, a wężyki akwariowe zamieniać w oprawki. Z wiertarki zrobiłem tokarkę, z tokarki szlifierkę, a potem piłę i na odwrót, słowem, narzędzia i materiały „przejadały się”, używając sobie wzajemnie użyteczności. Chyba można to porównać do przypadku zespołu The Beatles, którego członkowie nie oglądali się ponoć na zasady harmonii i kompozycji, dlatego udało im się wynaleźć świeże, innowacyjne brzmienia.

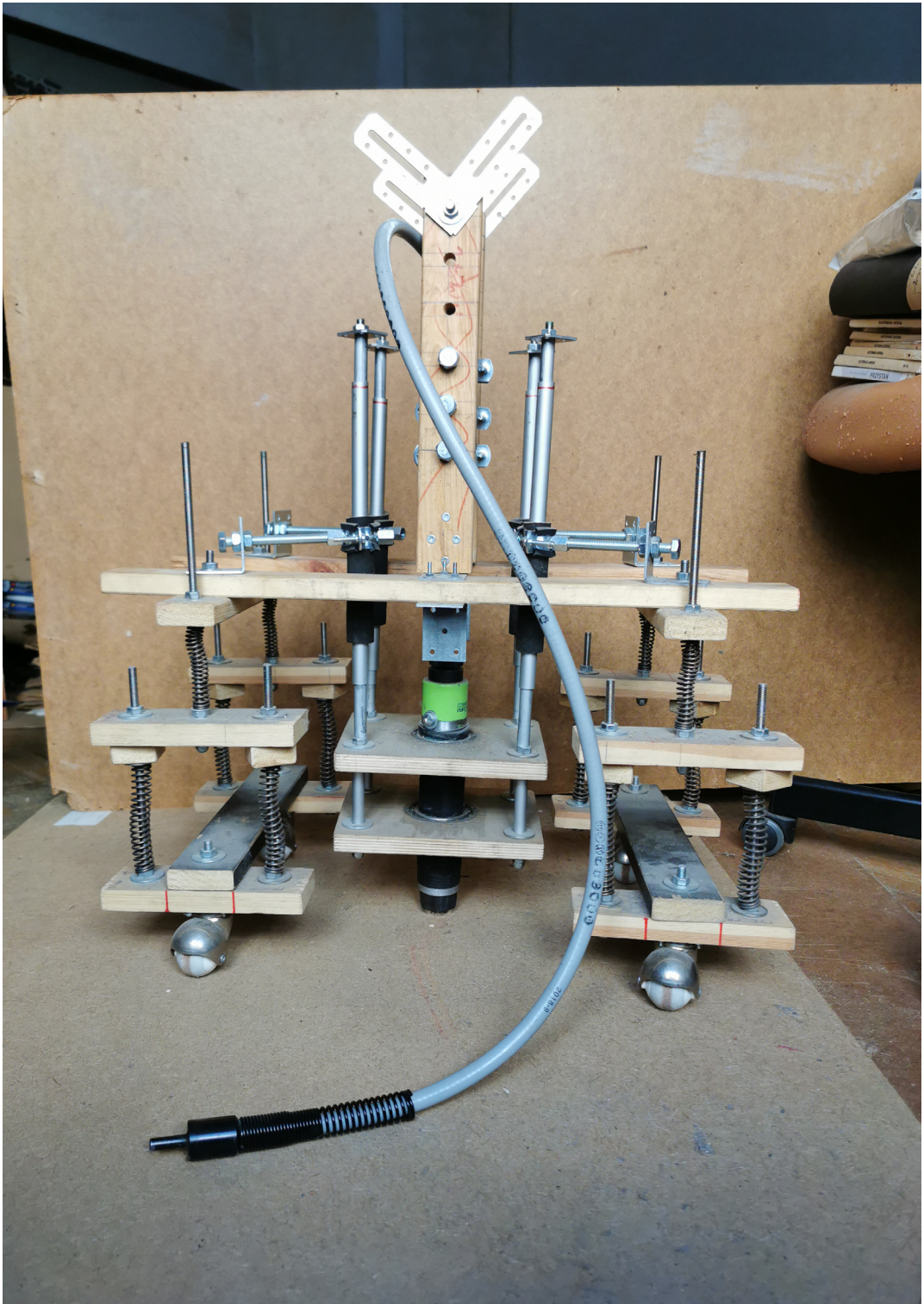
Nowa głowica, stalowa i dość ciężka, wymuszała użycie mocniejszego silnika niż ten miksera. Zwróciłem uwagę na szlifierkę kątową, która pośród innych zalet ma i tę, że napęd przeniesiony jest pod kątem prostym w stosunku do osi silnika. Mogłem więc położyć ją na stelażu, a głowicę skierować prostopadle w dół. Pierwsza szlifierka była nie dość dobra, bo brakowało regulacji obrotów, kupiłem więc drugą (raz zakupionych narzędzi nie mogłem oddać, ponieważ w trakcie prób ulegały znacznym modyfikacjom). Druga szlifierka okazała się także nieodpowiednia. W moich zapiskach znalazłem zdanie: „Kupiłem drugą szlifierkę, która ma regulowaną prędkość, ale tu problem okazał się inny i dość zasadniczy”. Jaki to był problem – nie wiadomo – przypuszczalnie miała również za słabą moc. Wskazuje na to kolejny zakup – litewska wolnoobrotowa wiertarka o wielkiej mocy.

MODUŁOWA MASZYNA DO KOLOROWANIA „DORA” („BAMBI-5”)

Rozpoczynając prace konstruktorskie i jeszcze długo później, byłem skrupulatny i pasowałem części z wielką precyzją. Dwie przycięte chałupniczo deski miały idealnie tę samą długość, a gdy wywierciłem otwory i przeprowadziłem przez nie pręty – biegły równolegle ponad metr w górę. Ale po miesiącach natężenia woli zdolność skupienia osłabła, metoda pracy stała się bardziej intuicyjna i stopniowo zacząłem uwalniać się spod rygoru obliczeń. Nie polegałem już na kreślonych starannie liniach i punktach, które wyznaczałem na nierównych deskach, gdzie drobny błąd skutkowało wielkimi dysfunkcjami maszyny. Zaczęłem wprowadzać elementy elastyczne, dzięki którym części miały „uleżeć się” względem siebie; tak oto na scenę wkroczyły sprzączki, klamerki, zaciski, gumowe i blaszane podkładki. Mimo to ostatnia maszyna mieściła w sobie wszystkie cechy dobrego rzemiosła, zwłaszcza w porównaniu z pierwszymi „Bambi”, które były typowymi reprezentantami wytwórczości krajowej (oddając im sprawiedliwość, pamiętajmy, że były niezrównaną skarbnicą doświadczeń przy budowie „Bambi-5”). Nowa „Bambi” wyróżniała się mocniejszym stelażem i lepszymi resorami, które miały umożliwić dociskanie urządzenia podczas pracy.

Wkrótce przyszedł kurierem napęd – wolnoobrotowa wiertarka o dużej mocy. Gdy zważyłem ją w dłoniach, a następnie położyłem na wózku, ogarnęła mnie rozpacz. Kółka, wykoślawione pod wielkim brzemieniem, nie mogły swobodnie toczyć się po papierze. Było jasne, że tak obciążone grafity natychmiast się zużyją, dając soczystą plamę, następnie wirujące oprawki zniszczą rysunek. Masywna, pionowo osadzona wiertarka chwiała się podczas jazdy i głowica traciła idealnie prostopadły kontakt z papierem. Aby temu zapobiec, kupiłem przystawkę kątową, więc wiertarka już nie stała, ale leżała. Maszyna wciąż jednak była zbyt ciężka i jej ogrom musiał okazać się dla papieru niszczycielski. Gdy tak siedziałem, zadumany, naszła mnie cudowna, zbawcza myśl: „Czy pamiętasz dentystów, jak borują zęby za pomocą wiertel napędzanych przez elastyczne węże? Idź tropem węży”. Rzeczywiście! Gdyby postawić wiertarkę z boku i poprowadzić od niej elastyczny przegub, zniknąłby problem nadmiernego obciążenia... Jak się przekonałem, w sprzedaży były przeguby do wiertarek i wkrótce z dymów i pyłów wyłoniła się dwumodułowa maszyna, której sercem była niezmiennie wiązka kolorowych rysików.

W miarę jak prace dobiegały końca, materia stawiała coraz większy opór, niczym kleszcz, który poczuł pincetę i z całych sił wierzga nóżkami. Śruby zrobiły się jak z cyny, żeliwne zaciski pękały, wiertła przestały pasować do wiertarki, a obliczenia zgadzać. Wszystko, co mi było potrzebne, ginęło pośród piętrzących się gratów. „A widzisz – zdawało się mówić to lub inne narzędzie – wcześniej używałeś mnie, a gdy już ci nie byłem



potrzebne, rzuciłeś mnie z przekleństwem w kąt, więc teraz zaszyję się tak, że mnie nie znajdziesz!”. Blok mojej poczciwej, starej wiertarki, na skutek zbyt forsownej eksploatacji poluzował się i nie było już mowy o precyzyjnych otworach, wirująca tarcza piły uwalniała się podczas pracy i fruwała, niczym straszliwe, tnące *frisby*. Doprawdy, łatwo powiedzieć „maszyna kolorująca”, lecz gdyby ktoś widział mnie wtedy, jak pośród iskier, spowity pyłem uwijam się w moim dziadowskim warsztacie, stanąłby zdumiony, niczym dama na tarasie okalającym Wodospady Wiktorii.

Ale niedolom przyszedł kres i maszyna stanęła wreszcie, niczym platforma wiertnicza, z elastycznym węzłem u szczytu. Wypadałoby ją ochrzcić „Bambi-5”, ale imię to, wyrażające raczej lekkość i zwinność niezbyt pasowało do monstualnego grzmota. W nawiązaniu do niemieckiego działa obłączniczego z czasów drugiej wojny światowej, ochrzciłem maszynę imieniem „Dora”. „Dora”, pośród straszliwego wycia wiertarki wolnoobrotowej, rozpoczęła pracę. Zdziwiająco lekko dawała wodzić się po papierze i zaraz spod głowicy wyłoniła się mocna, brązowa plama. Wyłączyłem maszynę i przyjrzałem się owej plamie. Był to niewątpliwie sukces, choć sukces niepełny. Pokolorowaną powierzchnię znaczyły liczne ciemniejsze, koliste zawijasy, niewątpliwie tak niedoskonała plama byłaby konkurencją dla zwiewnego rysunku. Obecnie, za pomocą obciążen i odciążen trzeba było przyłożyć odpowiedni nacisk na grafity, których twardość była kwestią bardziej starannego wyboru.

ZAKOŃCZENIE

Pochłonięty pracami konstrukcyjnymi, ani się obejrzałem, a czas skurczył się niebezpiecznie i do wystawy zostało kilka krótkich miesięcy. Z wielkim bólem przerwałem prace nad maszyną i zabrałem się do ręcznego kolorowania. Do dnia wernisazu udało mi się skończyć dwaście rysunków z obiecanych trzydziestu.

„Dora”, w całym majestacie swej bezużyteczności, pozostała niezwykłym, monstualnym bibelotem. Widocznie bywają olśnienia fałszywe, mające tylko pozór genialnych... Chciałem być innowatorem, Kochem branży artystycznej i – jak tamten dokonał rewolucji w bakteriologii – dokonać przełomu w dziedzinie kolorowania rysunków. Zostałem raczej Ciołkowskim lub Schwarzem, którzy ostatnie lata życia poświęcili błędnej idei metalowego sterowca. Ale czy na pewno? Kosztem wielkich wyrzeczeń rozwiązałem większość problemów konstrukcyjnych i nie potrafię pozbyć się myśli, że jeszcze miesiąc, dwa, a przypiąłbym ludzkości kredki do ramion. Byłby to niesłychany postęp, ale czy świat zaludniłby się artystami kolorującymi swe prace maszynami? Może za sto lat kto inny pokusi się o zbudowanie nowej „Dory”, oby ze szczęśliwszym skutkiem. Niech moje wysiłki będą inspiracją dla przyszłych twórców w pełni funkcjonalnych maszyn do kolorowania lub choćby nauczka, że nie warto ich budować.